

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

1

ROZDZIAŁ I.

Wiosna jakoś dziwnie długo tego roku przyjść nie chciała. O tej porze, kiedy po inne lata ruń młodych zbóż zieleniła się już po polach, kiedy świeże listowie rozpękało na drzewach i zakwitały pierwsze kwiaty wiosenne – zimno było jeszcze, pusto, martwo i białe.

Całun śniegu pokrywał ziemię, drzewa stały nagie, czarne i smutne, gdzieś od północy szły lodowate, mroźne tchnienia.

Ptaki wędrownie, które jak co roku o zwykłej porze do gniazd swych powracały, padały martwe z zimna i głodu.

Jeżeli gdzieś białe dzwoneczek śnieżyczki, albo drobny, leśny fiołek ośmielił się wychylić z główką, jakby przypominając zimie, że już precz iść powinna – to płatki jego kurczyły się, wiedły, zwarzone mrozem i kwiat zamierał, przywalony zimnymi płatami śniegu.

A ludziom zdawało się, że ta uparta, ostra zima, trwa wieki, że nigdy nie skończy się... I drżeli na myśl, że z poza białych tumanów śniegu szczyrzy zęby widmo straszliwe – głód!

I było im tak, jakby już nigdy słońce przegrzać nie miało, by ziemię odrodzić i umać młodą zielenią, ubarwić kwieciami...

Jakby już nigdy zakwitnąć nie miała ani jabłoni w sadzie, ani róża polna na urwisku, ani niezabudka nad wodą – jakby umilkły na zawsze pieśni skowronkowe i słowicze, zgłuszone krakaniem kruków i wrzaskiem wron.

Jakby już na zawsze pozostać miały te nagie żalosne drzewa i rola zmarznięta, bezpłodna... i smutek... i pusika głucha... i śnieg...

Bo wiosna przyjść nie chciała, choć był już na nią czas. Jak gdyby bała się wyrzeć na świat, co już rok trzeci płonął pożogą wojny i pławił się we krwi...

– Taka ta zima, jak i ta wojna – mówili między sobą ludzie – nie może się i nie może skończyć, choć każdy końca z tęsknotą wygląda.

– Mamo, czy my pójdziemy dzisiaj na spacer?

– Nie, Władziu, dzisiaj bardzo zimno... i widzisz przecie. O! Taki gęsty śnieg pada!

Władek rzucił ogladaną przed chwilą książkę z obrazkami, w której już zresztą połowy stron brakowało, wskoczył na stojące przy oknie krzesło i długą chwilę spoglądał przez szyby.

– Ten śnieg to leci i leci – wyrzekł wreszcie chłopczyk z jakąś skargą w głosie – taka długa zima! Kiedy będzie ciepło?

– Kiedy będzie ciepło? – zawtórowała mu młodsza siostrzyczka, która z upodobaniem powtarzała zawsze ostatnie słowa brata i tuląc do siebie lalkę, dodała: Moja Hania cie do ogłodu!

Pani Kornelia Rogoziewiczowa z uśmiechem spojrzała na dzieci.

– Cierpliwości, dzieci! Będzie ciepło, zazieleni się wszystko, zakwitnie... Pójdziecie wtedy do ogrodu i za miasto na łąki, pola, do lasu, jak tylko przyjdzie wiosna...

– A kiedy wiosna przyjdzie? – pytał dalej Władek. – Ona już powinna być... Dlaczego nie przychodzi? Niech przyjdzie! My wczoraj przed domem o, takiego małego, ślicznego ptaszka znaleźli, co już umarł... Ani jeść nie chciał, ani się ruszać... Kasia mówiła, że zmarł ze zimna. Biedny ptaszek!

– Biedny ptaszek...

– Po co takie zimno? Czy wiosna boi się przyjść, mamo?

Rogoziewiczowa uważniej spojrzała na chłopczyka, jakby zdziwiona jego zapytaniem.

– Może i boi się, Władziu – odrzekła po chwili w zamyśleniu.

Chłopiec zeskoczył z krzesła i z głośnym klekotem drewnianych podeszew „wojennych” trzewiczków, podbiegł do macochy.

– Dlaczego? dlaczego? – wołał, szarpiąc ją za suknię. – Ty wiesz, napewno wiesz... Opowiedz, opowiedz!

Kornelia pogładziła chłopca po jasnej, niesfornej czuprynce i odłożyła ubranko dziecinne, które naprawiała i cerowała starannie i umiejętnie. Wprawa ta zadziwiać mogła u bylej stu-

dentki i asystentki laboratorium chemicznego, która dopiero od kilku miesięcy miała sposobność, by zająć się łataniem zniszczonych sukienek i cerowaniem przerażająco podartych pończoszek dziecięcych.

Szary zmierzch wpelzał do pokoju. Niepodobna było szyć dłużej, a szkoda było jeszcze zapalać lampę.

Najlepsza godzina do serdecznej, poufnej pogawarki, albo do opowiadania bajek.

– Dobrze, opowiem wam bajkę o wiosnie... Zapanował radosny pisk i gwar.

– Słyszysz, Zośka, będzie bajka! Mama opowie bajkę!

– Mama opowie bajkę!

Mała parka wywijiała z radości rękami i nogami. Zosia coby prędzej wdrapała się na kolana Kornelii, nie wypuszczając jednak z objęć lalki, którą także zachęcała do uwagi:

– Siuchaj, siuchaj Haniu!... Będzie bajka!... Długa, śliczna!

Władek usadowił się na małym stołeczku, tuląc główkę do sukni macochy.

Nawet najstarsza, dziesięcioletnia Stefcia, która przy swoim małym stoliku pod oknem czytała powieść „dla starszej młodzieży”, odsunęła książkę i zdawała się także nadstawiać uszy do słuchania.

Nie uśmiechnęła się jednak i nie powiedziała nic. Jej poważna, ładna twarzyczka szatynki o bardzo białej cerze i regularnych rysach zachowała swój zagadkowy wyraz, trochę jakby nieufny i trochę pogardliwy.

Kornelia nieraz z poważną troską zastanawiała się nad tem, dlaczego nie może zjednać sobie tej inteligentnej, nad wiek umysłowo rozwiniętej dziewczynki.

Wszelkie usiłowania młodej kobiety, by pozyskać, jeżeli już nie miłość, to przynajmniej jej zaufanie, były bezskuteczne.

Stefcia zachowywała się grzecznie, ale z odpychającym chłodem. Była posłuszna, ale nie pozwalała się wciągnąć w żadną serdeczniejszą pogawędkę z macochą i od wszelkiej jej pieśczoły uchylała się stanowczo.

Wprawdzie Władek i Zosia także uciekali z początku z krzykiem i płaczem od „brzydkiej pani”, o której ojciec mówił, że to ich „mama”. Ale powoli serduszką dziecięce przylgnęły do nowej opiekunki, ugłaskane łagodnością, a przede wszystkim wymyślaniem różnych gier i zabaw i opowiadaniem zajmujących bajek.

Kiedy nareszcie pewnego dnia Kornelia kupiła Zosi śliczną lalkę otwierającą i zamykającą oczy, z włosami, które można było czesać, wówczas dziewczątka oświadczyło kategorycznie: „bzidła pani pojechała daleko, daleko, a została doła mama”.

Władek dostał książkę z kolorowymi podobiznami nieznanych mu zwierząt, a gdy nowa „mama” obiecała mu opowiedzieć o każdym z nich długą i ciekawą historyjkę – przychylił się do zdania Zosi. I odąd przyjaźń pomiędzy macochą a młodszymi dziećmi była zawarta.

Pozostawała tylko Stefka, ale ta była nieprzejednana. Długo wzdrygała się przed tem, by nazwać macochę „mamą”. Kornelia nie chcąc jeszcze więcej zrażać dziewczynki, nie nalegała i pomijała to milczeniem.

Dopiero Rogoziewicz zwrócił uwagę, że Stefcia przemawia do jego żony nieosobowo i wtedy dość ostra jego interwencja rozstrzygnęła sprawę.

Dziewczynka poddała się woli ojca, mówiła do Kornelii „mamo”, ale to słodkie, pieśczołowe nazwanie miało zawsze u niej jakiś nieszczerzy, wymuszony ton.

Kiedy Stefcia wiedziała, że nikt na nią nie patrzy, wówczas ze złośliwym zadowoleniem obserwowała brzydką twarz i niezgrabną figurę macochy.

– Taka szkarada! – powtarzała sobie z tem silniejszą, im więcej nielogiczną zaciętością – I ona zajęła miejsce mamusi, takiej słodkiej, ślicznej, kochanej!... Ta Pastrana!... Pastrana!...

Stefcia czytała, że Pastrana była to najbrzydsza na świecie kobieta i nazwę tę stosowała teraz do macochy.

Pewnego razu Kornelia chciała odkurzyć portret pierwszej żony Rogoziewicza, wiszący nad jego biurkiem. Nagle Stefka podbiegła ku niej, wyrwała jej z rąk miotłkę i brutalnie odpychając macochę, zawołała jakimś, jakby ochrypłym głosem:

– Niel!... Niel!... Ja sama!...

Rogoziewiczowa aż przestraszyła się – tak gniewnie pałały ciemne oczy dziewczynki.

Nie zgromiła Stefci za jej niegrzeczne zachowanie się i, nie mówiąc ani słowa, wyszła z pokoju.

– Co to jest? Co tę dziewczynę tak odpycha odemnie? Czy to, że zajęłam miejsce jej matki?... Czy odrzuca ją moja brzydota, bo ona ma silnie rozwinięte poczucie piękna... W każdym razie nienawidzi mnie... Jeżeli nie zdołam jej pozyskać, to będę miała w domu zaciętego wroga.

Jednakże nawet Stefcia nie umiała oprzeć się czarowi opowiadanych przez macochę bajek. Zwłaszcza, że bystry umysł dziewczynki umiał pochwycić zawsze poza zajmującą fabułą jakiś głębszy pierwiastek, niedostępny dla młodszego rodzeństwa...

I dlatego też teraz Stefcia odkłada książkę i, choć nie na macochę patrzy, ale w okno – słucha wszakże.

Kornelia przygarnęła ku sobie Władzia i Zosię i zaczęła opowiadać:

– Zawołał Pan Bóg do siebie Wiosnę i mówi do niej:

„Wiosno! Czas już na ciebie, zejdź na ziemię, bo ludziom smutno i zimno... Marzną biedni ludzie w izbach nieopalonych, płaczą ich dzieci... Idźże ich ogrzać, Wiosno!”

Zalameła Wiosna swoje rączki, tak białe i wonne, jako płatki lilii i zapłakała łzami, co jak przeźroczyście perły porannej rosy polały się po licu różowem, niby kwiat jabłoni... i mówi:

„O! Pani! Jakoż mam iść, gdy lękam się... Już po raz trzeci oglądać mam mordy i pożary, krew i popioły, zgłuszcza i gruzy... A pocóż pójdę?... Wszak przyjdzie moje ran nie zagoi, łez nie osuszy, zła nie usunie... Niel! Ze zjawieniem mojem sroższy się jeszcze rozszałe bój, żywszą falą zakotłuje się morze krwi...”

„Wiosno, idź! Jesteś ludziom potrzebna!... Nasiej po gajach pierwiosnków, fijołków, sasanek... W kwiecie ustrój wiśnie, jabłonie i grusze. Niech wszędzie młode zboże, niech zazieleni się wierzb przy drodze i pokrzywa u chłopskiego płotu, niech zapachnie czeremcha i leśna konwalia”.

„O, Pani! Jakoż mam kwiecie siać i drzewa stroić w szatę godową?... Wszak ci mi fijołki i konwalie kołami armat i kopytami koni podepczą, drzewa kwitnące kulami ognistymi pogruchoczą, połamią, zabiją, a zielony młodych traw i zbóż aksamit krwią czerwoną ubrocą”.

„Wiosno, idź! Czekają na ciebie ludzie w ułęsknieniu wielkiem... Niechże jaskółka gniazdko pod strzechą uwije, niech skowronek, niech słowik pieśń swoją zaśpiewa”.

„O, Pani! Jakoż wracać mają jaskółki, kiedy niema już tych chat, pod których strzechą gniazda wily... Jakże rozbrzmiewać mają pieśni skowronków i słowików, jeżeli zgłuszą je jęki rannych i płacz a zawođenje tych, co ukochanych stracili i tych, co zostali bez dachu i chleba... Za ostatnią bytnością moją słyszałam, jak płakała matka, której ostatniego zabili syna... I słyszałam, jak jęczał żołnierz konający, co młody był, piękny, dobry i o szczęściu marzył... I ja, com przyszła śmiać się i radować, zapłakać musiałam nad nim i nad innym jeszcze, co drobne dzieci miał do wyżywienia, a oczy na wojnie stracił... O, Pani! Nie każ mi schodzić na ziemię”.

„Musisz iść, o Wiosno! I promienie słoneczne rzucić na pola, gaje, sady i wody, bo tam na ziemi dzieci smutno pytają matek, dlaczego tak zimno i czemu Wiosna nie przychodzi”.

„O, Pani! Jakoż mam słonkiem ogrzać i rozweselić ziemię, kiedy mi je przysłonią chmurami dymów duszących... I cóż powiem dzieciom, co mnie o ojców pytać będą”.

Tak się to wypraszała Wiosna Panu Bogu, aby nie iść na ziemię, na której już trzeci rok taka straszna wojna się toczy, ale Pan Bóg rzekł:

„Niel! To nie może być, Wiosno, abyś ty ludzi opuściła. Musisz zejść, aby plon wydała czarna rola, złotem ziarnem obsiana, potem znoju rolnika skropiona... Musisz zejść, żeby pocieszyć serca, co rozpaczają i tracą nadzieję i rozweselić dzieci, które do wiosny tęsknią... A jak już będziesz na ziemi, to nie zapomnij o kraju, co nad szarą Wisłą leży, a Polską się zowie... O tym kraju, gdzie najwięcej mogił i krzyżów i najwięcej łez wylanych... Wyzłoczę mi go słonkiem dobrze, umaję mi go pięknie zielenią i rozsiej po nim dużo pachnącego kwecia...”

Władzio i Zosia jasne swoje główki przytulili do opowiadającej i słuchali cichutko. Stefce książka zesunęła się z kolan na ziemię. Dziewczynka ręce zapłota i całą postacią naprzód się podała. Zapomniała w tej chwili o brzydocie macochy